

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:
 W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
 W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
 W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
 W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
 Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
 Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

Od Redakcyi.

Szanownym abonentom przypominamy o terminie odnowienia prenumeraty kwartalnej, prosząc, jak zwykle, o wczesne jej nadsyłanie, o ile możności, wprost do Redakcyi — *Nowy-Swiat Nr. 4.*

Wszyscy nowoprzybywający abonenci otrzymają bezpłatnie początek drukujących się obecnie szkiców p. t.

„LICHWIARZE WARSZAWSKY“.

O poparcie pisma naszego, mającego do zwalczania, ze względu na swoje odrębne stanowisko w prasie, nader trudne warunki, wszystkich życzliwych nam — prosimy.

LICHWIARZE WARSZAWSKY.

(Szkice z życia).

II.

Do Warszawy, jako do dużego miasta, gdzie wśród półmilionowej blisko ludności, musi być obfitość najróżnorodniejszych zarobkowych i majątkowych stosunków, ściga się spory kontyngens biedaków poszukujących pracy i chleba, oraz większy zastęp aferzystów, liczących na to, że znajdą w mieście wielkim dość mętnych źródeł, w których nie trudno będzie bez wysiłku, ryby łowić. Pierwsi zawodzą się najczęściej — drudzy idą na pewno. Dwie te fale napływowe spotykają się z sobą i druga pożera pierwszą.

A oprócz napływowej biedy — ileż miejscowej jest! Ktoby pomyślał patrząc na wesoły uśmiechnięty tłum posuwający się w piękny wieczór letni ku Ujazdowskim Alejom, na elegantów i elegantki zapelniające Ogród Saski, że wśród nich połowa przynajmniej piszczy w szponach lichwiarskich! A tam niżej znów, na Dobrej, Solcu, Czerniakowskiej, Fabrycznej, gdzie się roi tłum robotników fabrycznych — jakież to wdzięczne dla lichwiarzy pole!

Od klubu arystokratycznego do najordynarniejszej szynkowni — od wykwintnie umeblowanego salonu do nędznej suteryny, w wilgotnej atmosferze której wegetują biedacy, we wszystkich sferach ludności, lichwiarze, pod rozmaitszemi postaciami, w najrozmaitszych formach, prowadzą swoje operacje.

Czy zgangrenowane moralnie, choć jeszcze niepełnoletnie paniątko, potrzebuje kilku tysięcy rubli na sfalszowany podpis papy, czy nieszczęśliwa wyrobница, szuka kilku złotych na zastaw ostatniej poduszki, lichwiarz da i, czy tam czy tu, doskonale zarobi.

Rozumie się że takie obszerne pole działania, taka rozmaitość sfer w których operować można, musiała pociągnąć za sobą konieczność wytworzenia się pewnych specjalności lichwiarskich. Z zadziwiającą harmonią i zgodą, podzielili się lichwiarze, na tysiączne koła, kółka i kółeczka; — jeden drugiemu nie wchodzi w drogę, nie przeszkadza, nie robi konkurencyi. Każdy pilnuje swojej sfery ofiar, swego kółka i w tem kółku jest samowładnym panem, nakłada warunki takie, jakie mu się podoba; — ponieważ zaś lekkomyślni nie rozumieją, a nieszczęśliwi nie mają drogi wyjścia — przeto lichwiarz nie zna nawet głosu protestu i znać go nie chce.

W układzie on dyktuje warunki, a ofiara musi je bez szemrania przyjmować.

Codziennie, że się posłużymy utartem, ale dobrze malującym rzecz wyrażeniem, popełnia się w Warszawie tysiące „rozboi na gładkiej drodze“, tysiące grabieży i łupieństw, lecz wszystkie one, obleczone są w tak legalne formy, że władza, moralnie nawet przekonana o nadużyciu, interweniować nie może. Ale cóż o tem mówić. Nie znalazł się jeszcze prawodawca, któryby potrafił zabezpieczyć jednostkę od tego rodzaju wyzysku.

Ogromne pole działalności lichwiarskiej, podzielone zostało na specjalne poletka. Lichwiarzy encyklopedystów niemasz, są specjaliści tylko. Taki co się kręci w okolicach sądu i poluje na biedaków mających do zbycia summy hipoteczne, za czwartą część wartości, nie pożyczka na zastawy. Opiekun główny artystów, nie wda się w interes z urzędnikiem, lichwiarz kolejowy nie prowadzi dyskonta weksli pod bankiem, a specjalista od zastawów, nie robi interesów na poręczenie choćby najlepsze. Są specjaliści lichwiarze mający w swej opiece teatr; każde biuro, każda instytucja ma jednego lub kilku swoich dobrodziejów, dobrodziejów wyłącznych — są specjaliści od wielkich kokotek i specjaliści od przekupek, którym udzielają kredytu na termin tygodniowe, za skromnem wynagrodzeniem, dziesięciu lub piętnastu groszy od rubla!

Zastanów się teraz łaskawy czytelniku i oblicz, choćby przypuszczalnie tylko, ilu takich dobrodziejów posiada Warszawa i ile trzeba pieniędzy na ich utrzymanie i na „uczciwy dorobek“, bo przecież na to lichwiarz pożyczka pieniędzy żeby się „dorobił“.

Ile setek tysięcy, ba! może i milionów rubli potrzeba

aby utrzymać całą tę zgrają pasorzytów,—a notabene zgraja nie żałuje sobie; lubi porządnie mieszkać, dobrze zjeść i wypić, porządnie się ubrać, wyposażyć dzieci. Jakże wielkich odsetków od pracy uczciwej trzeba na utrzymanie wyzyskiwaczy i pasorzytów!

Przykład zresztą poniższy będzie wskazówką, jakie Warszawa składa lichwie ofiary.

Opowiadam fakt autentyczny.

Przed laty pięcioma przybył do Warszawy żydek posiadający całego kapitału 1,200 rubli i rozpoczął operacje lichwiarskie w sferze pracowników, pewnej instytucji prywatnej. Pożyczał drobne sumki, na krótkie terminy, a kole-dzy w zawodzie wyśmiewali się z niego, że jest kapcan i że nie umie prowadzić interesów. Istotnie, podobno z ich punktu widzenia mieli słuszną, albowiem kapitalista ów w przeciągu lat pięciu, dorobił się zaledwie czterech tysięcy rubli, (bo obecnie kapitał jego tylko tyle wynosi) no i przez pięć lat żył z rodziną, a rodzinę notabene ma dosyć liczną. Za mieszkanie płaci 300 rubli rocznie, na utrzymanie domu zaś potrzebuje przeciętnie 60 rubli miesięcznie. Jeżeli zatem lichwiarz, uznany przez kolegów za niedołągę w swej specjalności, robi takie interesy, to jakież mogą mieć zyski ci, którzy są majstrami w zawodzie!?

A kto się składa na te dorobki? Jak powiedzieliśmy wyżej: lekkomyślni i nieszczęśliwi. Pierwszych jest liczba znacznie mniejsza, drugich, niestety, cały legion, i ten to właśnie legion pada ofiarą pijawek, jego praca, jego krew, tuczy darmożjadów, wypasa najszkodliwsze płazy ludzkości. Ileż przez to jest rodzin nieszczęśliwych, ile uczciwych egzystencyj zmarnowanych, ilu ludzi słabszej woli i energii rozpiło się (przez to, a ilu samobójczą ręką przecięło nie ciężkiej, niewolniczej, niemożliwej do wytrzymania egzystencyi!

Smutna, bolesna statystyka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy z Galicyi.

XXIII.

Dnia 15 Marca 1888 r.

Sprawa wódczana góruje dziś ponad wszystkimi w naszej prowincyi. Węgry, którzy od lat dwudziestu prowa-

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przywitany w sposób tak poufały, obejrzał się. Po jego lewej stronie siedział Bogacki.

— Czy pan w teatrze na gapia, czy też może już jako augur?—zapytał „współpracownik czasopism“.

— Pan Młodowski przysłał mnie na premierę.

— I kazał panu naturalnie sztukę zerznąć bo on lubi tylko artykuły jędrne. Ho, ho, to majster nielada. Zna on naszą publiczność, jak nikt. A ileż też panu obiecał zapłacić?

— Nie stawiałem warunków.

— Zkąd pan przybywa? Z Chin, z Japonii? Stawiaj warunki, bo sprawię ci frycówkę. On nie da panu na początek więcej, jak trzy grosze od wiersza, bo to mądra ryba.

Bolesław uczył znów niesmak. Coś trywialnego, jakby wyziew ulicy, wiało od tego człowieka.

dząc u siebie gospodarstwo nakładowe w wysokim stylu, potrzebują wciąż pieniędzy, powiedzieli sobie w tym roku, że muszą zaprowadzić wielkie opłaty od spirytusu, a przedlitawski minister finansów, p. Dunajewski uznał ich projekt za swój i jeszcze podczas bieżącej sesji Rady państwa chce go w życie wprowadzić.

Rozchodzi się nie mniej i nie więcej, tylko o pięciokrotne podwyższenie dotychczasowego podatku wódczanego. Od litra spirytusu miałyby się teraz płacić skarbowi 45 cen. Ze stanowiska moralności, tak ekonomicznej jak społecznej, zdawałoby się, że niema podatku uczciwszego od tego, którym alkohol jest dotknięty, i my też w Galicyi niebysmy przeciw niemu nie mieli, gdyby nie ta arcy smutna okoliczność, że nie mamy zkad wziąć owych 10 milionów guldenów, które, po zaprowadzeniu nowych opłat wódczanych, każą nam płacić.

Szlachcica na wsi ratuje choć trochę przywilej propinacyjny; miasta nie posiadające własnych dóbr i kapitałów leżących, a takich jest najwięcej, opędzają koszta swojej administracji z dochodów płynących z propinacji; wreszcie chłop, żywiący się postnemi ziemniakami i postną kapustą, pije gorzałkę, aby w zimie nie zmarznąć, a w lecie mieć siłę do pracy. Taniaść wódki jest więc u nas złem koniecznym, które dopiero wtedy ustanie, gdy ludność miejscowa, przez podniesienie się dobrobytu, czem innym ten napój zastąpi.

Gorzelnictwo, które w latach ostatnich zaczęło się znów trochę dźwigać, jest nową ustawą zagrożone, a że z niem łączy się wypas bydła przeznaczonego na wywóz, więc w tej chwili nie można nawet przewidzieć, jakie rozmiary przybierze grożąca nam katastrofa. Nie dziw też że na myśl tego, co nas czeka, niepokój coraz większy wszystkich ogarnia, tak dalece, że w chwili obecnej niema ani jednego powiatu, któryby do Wiednia nie wysłał swojej deputacji z poleceniem, by ta starała się wpłynąć na Koło polskie, iżby nowa ustawa nie została w Radzie państwa uchwaloną. Nie wątpimy że Koło spełni swój obowiązek, chociaż, z drugiej strony, nie sposób utaić obawy, że nawet mimo opozycji Koła polskiego, ustawa przejdzie, ponieważ pan minister pozyskał już sobie zgodę posłów czeskich, którzy, za ustępstwa w sprawie podatku od cukru, przyrzekli mu swoje poparcie.

Być może iż, wskutek naszej agitacji, zdobędziemy jakie drobne ustępstwa dla gorzelni rolniczych, na których istnieniu najwięcej nam zależy, ale że podatek wódczany będzie uchwalony, to najmniejszej wątpliwości nie ulega. państwo bowiem potrzebuje pieniędzy, a niema ich zkad wziąć. A co potem? Potem Galicyi nic nie pozostanie, tylko albo założyć ręce tragicznie i w dotychczasowej bezczynności czekać Boskiego zmiłowania, bądź też pójść za radą pana Szczepanowskiego i wziąć się, jak to mówią, na pazury, by się nie dać. Rola sama nie pokryje już naszych potrzeb. Jeżeli pod każdym względem mamy sprostać innym

Chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zapytał:

— Fan zapewne także po służbie?

— Ma się rozumieć. Ja do teatru na gapia nie chodzę, bo czas mój drogi. Mnie płacą za wiadomości brukowe po sześć groszy od wiersza, a jeżeli dam tłustą pieprzną, to czasem i dziesięć lyknę. Gdzieżbym mógł trwonić cenne godziny moje na oglądanie takiej lichoty.

— Pan zna zapewne sztukę z rękopisu.

— A to na co? Zobacze ją przecież. Choćby jej nawet nie widział, wiem naprzód, co napiszę. Zerzną, że wióry polecą.

Zdumiony, spojrział Bolesław na swego sąsiada. Spozstrzegł to Bogacki, bo usmiechnął się z pogardą.

— Bieda z takim nowicyuszem, jak pan. Wyglądasz niby panienka, która przyjechała po raz pierwszy na bal — mówił „współpracownik“. — Ale wie pan, podobasz mi się kawalerze.

I uderzył Bolesława po kolanie.

— Masz poczciwą gębę; lubię takie gęby, jak pańska. W antrakcie pójdziemy do bufetu napić się wódki i zapalić papierosa, a tymczasem słuchaj pan uważnie, co ci teraz powiem. Widzi pan tego, ot tam jegomościa, który rozmawia z tą panią w czerwonym kapeluszu? — pytał wskazując lornetką na przystojnego bruneta z rozumną twarzą.— Tego, z temi długimi włosami.

narodom cywilizowanym, musimy zaprowadzić gospodarstwo intensywne i rozwinąć te gałęzie przemysłu, które u nas mają widoki powodzenia, inaczej ludzkość przejdzie nad nami do porządku dziennego, a nad nędzarzami nikt lży nie uroni.

Taki jest już świat, i niekoniecznie trzeba być Hobbesem, Schoppenhauerem lub Hartmannem, aby widzieć, że wskutek egoistycznego instynktu, który w nas przeważa, a który, na szczęście, Kościół stara się wykorzenić, człowiek dla istoty słabej, nie umiejącej walczyć i zwyciężać, czuje prędzej politowanie niż litość, a już najmniej współczuje z jej niedolą.

Że przy dobrych chęciach można i u nas coś zrobić, tego jawny dowód złożyły nasze panie, które we Lwowie zawiązały Towarzystwo oszczędnościowe. Do Towarzystwa weszły przeważnie osoby niezamożne: żony urzędników, inżynierów, profesorów, ale że z nich każda była dobrą chęciami ożywiona, więc i rezultaty są wcale pokaźne. Panie wybierają ze swego grona dziesiętniczki, z których każda jest obowiązana pozyskać dziesięciu członków, płacących po 10 centów miesięcznie. Składki są więc bardzo drobne, ale że z ziarenek robią się miarki, więc i z tych datków groszowych tworzą się tysiące, z których, po latach kilkunastu, mogą być krocie, później nawet miliony.

Za przykładem pań poszli mężczyźni i zawiązali we Lwowie takie samo drugie Towarzystwo, lecz, jak dotąd, jeszcze niewiele o niem wiemy. Zdaje mi się, że dobry przykład powinien działać swoje. Jeżeli teraz prowincya, jak się tego spodziewamy, wstąpi w ślady Lwowa i podobne Towarzystwa zawiązą się we wszystkich naszych miastach i miasteczkach, to na razie nikt nawet nie przewidzi, jak światła na tem polu będzie można z czasem osiągnąć rezultaty.

Pan Goldfinger nie będzie jeszcze tak prędko właścicielem Zakopanego. Ponieważ licytacja nie odbyła się prawidłowo, przeto, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostanie unieważniona, poczem sąd rozpisze nowy termin. Towarzystwo tatrzańskie stara się stworzyć konsorcjum rozporządzające kapitałem 200 tysięcy, i pragnie aby ono Zakopane kupiło; wszelako Towarzystwo wzięło się do rzeczy tak nieporadnie, że największy nawet optymistą nie może jego projektowi wróżyć powodzenia. Myśl, rzucona przez jednego z posłów, aby kraj kupił Zakopane, nie była przez Wydział krajowy nawet roztrząsaną. Skończy się więc prawdopodobnie na tem, że ogromne te dobra przejdą na własność jeżeli nie Goldfingera, to jakiego Silberfingera, boć żydzi mają więcej niż my — sprytu i pieniędzy.

Rolarz.

Oko Bolesława poszło śladem ręki Bogackiego.

— Jest to Artur Domoradzki, którego nazwisko zapewne pan słyszał, także komediopisarz i dziennikarz. To konkurent Otockiego, człowiek niezmiernie gwałtowny, i posiadający rozległe stosunki. Domoradzki jest przyjacielem pisma, w którym głównie pracuję i dlatego musi Otockiego dostać u nas porządnie w skórę. Na to nie ma rady, taka już nasza polityka. Otockiego grzmotną, aby poczuł, co to nasze stronnictwo.

— A do jakiegoż się pan stronnictwa zalicza? — wtrącił Bolesław, który słuchał mowy Bogackiego z otwartymi oczami, jakby stał przed jakim dziwolągiem.

— Jestem z „Gońca“ — odparł „współpracownik“.

— O ile mi wiadomo, nie przedstawia „Goniec“ żadnych zasad. Jest to podobno tylko dziennik informacyjny.

— Znow się pan odezwał jak nowicysz, jak student. Każde pismo ma swoje stronnictwo, czasem łączą się z sobą dwa, trzy, lub więcej, co zależy od wspólności interesów wydawców, lub też od dobrych stosunków, jakie panują między współpracownikami. My żyjemy dobrze z gazetą, w której Domaradzki zasiada, ergo dostatnie Otockiego w skórę i basta. I panu radzę, abys się rozpatrzył, gdzie się stale przyczepić, ale gdy się raz zdecydujesz, wtedy trzymaj się swego obozu nogami i zębami, bo gdybyś chciał

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

„Z trybunału w Angers — mówił p. Denormandie — „Latarnia“ z dnia 21 Sierpnia wskazała sędziego nazwiskiem Maury, jako tego, który winien być usunięty. I został usunięty w kilka dni potem.

„Dnia 29 Sierpnia ten sam dziennik zawierał te słowa: „Dobrze! Jeszcze jedno machnięcie miotłą!“ — i 6 Października trzech wskazanych urzędników wymiecionych zostało.

„Latarnia“ to również zadenucyowała p. Tourné, prezesa trybunału w Mont-de-Marsan, jako fałszerza i niegodnego prezydować dłużej.

„Naturalnie dymisyja nastąpiła niebawem.

„Ale na tem nie dość było temu dziennikowi, który w nowym artykule oświadczył, że wszyscy sędziowie tego trybunału są fałszerzami i że należy ich wyrzucić ze stanowisk, których są niegodni. Ogłosił ich nazwiska, z najgwałtowniejszymi komentarzami, — i w kilka dni potem wszyscy dostali dymisyje.“

Następnie p. Denormandie wykazał co się stało z trybunałami w Pau, Vannes i Dax.

„Dalej, moiście kanclerzu — nastawał pomieniony dziennik — zajrzyj pan i do Clermont i machnij tam miotłą tak samo jak się machnął w Mont de-Marsan i w Pau!“

Pan Denormandie mógł być dodać, że wypisując te listy proskrypcyjne, Mayer mścił się za obrazy całkiem osobiste, gdyż jego rodzina i on mieli potroszę do czynienia z sądami wszystkich krajów. Miał on szczególnie na wątróbce wyrok trybunału w Valenciennes, z dnia 20 Sierpnia 1879 r., który surowo potępił środki, jakimi Mayer posłużył się w jednym z swoich dzienników, w „Reformie finansowej“, dla poparcia nieczystego przedsiębiorstwa, p. t. „Północne Towarzystwo ceramiczne“. Trybunał sprawdził, iż „Reforma finansowa“ twierdziła, że fabryka wolna jest od wszelkich ciężarów, długów i hypotek, wtedy, gdy jeszcze za nią nic nie zapłacono, i orzekł, że „szkody zrządzone wyniknęły nie z faktów samych, ale z opublikowania ich w celu interesowanym i karygodnym“; uznał nareszcie, że tych karygodnych manewrów dopuścił się „Mayer, publicysta i bankier paryzki, w dzienniku „Reforma finansowa“.

W sprawie wytoczonej dziennikowi „Nouvelle France“, nie wahano się ścigać sędziowsko pana Sumien, który był prostym anonsistą, dziennikarzem od reklam i ogłoszeń, ale smiesznie byłoby przypuszczać, że p. Loeu, lub którykolwiek urzędnik sądowy z warstw młodszych poważył się

eksperymentować, zginięsz, jak kamfora bez pieprzu. U nas wyrzuca się ludzi w górę, niby piłkę, lub spycha się na sam dół zapomnienia. Od czego pocziwa reklamka, lub milczenie dyplomatyczne. A „Gwiazdę“ pan rzuć, bo to pismo niepopularne między nami i wcale nie hojne. Trzymaj się pan mnie, a wy kieruję cię na ludzi.

Bogacki rozsiadł się szeroko w fotelu, przyłożył lornetkę do oczu i zaczął się po sali rozglądać, a Bolesław opuścił głowę na piersi i zmruczył powieki.

Zaciężyła mu czaszka. Tyle się do niej nowych wciśnięło myśli, tyle bolesnych spostrzeżeń, że czuł, jak mu krew biła w skroniach. Chciałby był uciec od tego człowieka, od tej karykatury ideału, który przywiózł z sobą do Warszawy.

Nagle drgnął. Za kurtyną odezwał się dzwonek.

Bolesław wyprostował się, zebrał wszystkie siły i czekał, drżąc na całym ciele. Miał przecież rozpocząć za chwilę działalność publiczną, miał być jednym z kierowników opinii. Co dziś napiszę, wydrukują jutro, a pojutrze rozlecą się arkusze „Gwiazdy“ po całym kraju, niosąc tysiącom prostych, łatwowiernych dusz pokarm duchowy, nauki słowa lub pociechy w ciężkiej doli. Nie ma mówcy, któryby posiadał tak licznych słuchaczy, jak literat lub publicysta. Druk działa potężnie. Bolesław wiedział o tem z własnego doświadczenia. Pochłaniał na prowincyi nie raz chciwie bibu-

ściągając Mayera, który uorganizował rzecz równie nieuczciwą. Jednak to potępienie czysto platoniczne jeszcze mu się nie podobało i nie omieszczał się zemścić.

Wobec tego żyda, nawet oficerowie francuzcy stają się małemi chłopaczkami.

Z okazji 14 Lipca 1883 r. „Latarnia“ wydrukowała nie wiem już jaką infamię o panu de Vaulgrenand, pułkowniku 22 pułku artylerji, stojącego w Wersalu. Nazajutrz biuro dziennika napelniło się oficerami; pułkownik de la Valette i Molière, którzy przybyli pierwsi, spotkali się tam z gronem oficerów 22 pułku artylerji. Po co oni się tam zeszli? Żądać od Mayera satysfakcyi? Al to byłaby dziwna pretensya! Oni przyszli, jak to wydrukował dziennik itali- kami, z ł o ż y ć p r z y c h y l n e s w i a d e c t w o na rzecz swojego pułkownika.

Czyż to nie jest rzecz nieoszacowana dla psychologicznej historii naszych czasów, widzieć tych bohaterów, tych świetnych żołnierzy wielkich bitew, przychodzących wstawić się za swoim pułkownikiem do tego plugawego żyda kolońskiego, napół śpiewaka, napół szpiega?

To są owe zboczenia, owe słabości, owe g a l l i - z m y moralne, których prawie niepodobna zrozumieć anglikom lub niemcom. Oficerowie niemieccy, ci uczniowie Hegla w mundurze, którzy chcą wszystko wytłumaczyć teoryami filozoficznymi, wprawiają cię w kłopot swojemi zapytaniami.

— Koniec końców, wasi oficerowie są waleczni, myśmy widzieli ich w ogniu; jakże oni mogą pozwolić tak się traktować?

Zupełny brak odwagi intelektualnej jest jedynem tutaj tłumaczeniem. Aby wykazać ten brak wszelkiej energii oporu, dość jest przeczytać cudzoziemcom historję egzekucji trzydziestu siedmiu żandarmów i gwardzistów paryżkich, którzy byli zakładnikami u Komuny. Ludzie ci w sile wieku, nieustraszeni, jak tego dowiedli swoją śmiercią, pozwolili się zaprowadzić na rzeź eskortie złożonej z trzydziestu pięciu ludzi, którzy niczego bardziej nie pragnęli jak pozwolić im uciec. Przez całą drogę ludność, która im była przychylna, zachęcała ich aby sobie poszli. Na ulicy de la Roquette, jakaś kobieta krzyknęła na nich: „A uciekajcież!“ Oni doszli do końca „miarowym krokiem — mówi Maksym du Camp — jak gdyby szli na mustre“.

W gruncie rzeczy, jak tego dowiodły wypadki dziejące się od lat dziesięciu, pułkownicy nie posiadają więcej ruchliwości mózgowej, zdolności do decyzji, niż gwardziści muni- cypalni.

Tę ruchliwość, tę stanowczość, tę odwagę intelektualną posiada Eugeniusz Mayer.

Przepatrzcie jeszcze wraz ze mną *curriculum vitae* tego żyda. Zbadajcie tego człowieka w jego otoczeniu, w jego kształtowaniu się moralnem, w jego rozwoju, a osłupiecie, widząc, ile rzeczy poruszyć, ilu ludziom wleźć w drogę, ile ruchu dokoła siebie rozwinąć może rodzina żydowska, wzięta poniekąd na los szczęścia.

Jeden ze stryjów Mayera, protegowany przez inten-

lą, czarnemi pokrytą znakami, i ufał, że ona tylko... prawdę głosi.

Dzwonek zabrzączał po raz wtóry, zasłona podniosła się.

Wprawną ręką wyprowadził autor na scenę główne postacie swego dzieła, zapoznał widza z ich stosunkami, naszkicował tło, nawiązał fabułę i zapuścił kurtynę, zostawiając ciekawym szerokie pole do domysłów. Przedmiot wzięty pan Otocky ze sfer bogatego mieszczaństwa, pnącego się do arystokracji.

Bolesław śledził z wielkim wysiłkiem rozwój ekspozycyi, przypatrując się równocześnie wykonawcom. Chciał widzieć wszystko, a mimo to nie dostrzegł mnóstwa drobniaków, które tylko doświadczone oko jednym chwytą rzutem.

Zmęczony, oparł się na poręczach krzesła, i zwrócił się w stronę przeciwną, aby nie być zmuszonym do rozmowy z Bogackim. Spojrzenie jego spoczęło na życzliwie uśmiechniętej twarzy, prawego sąsiada. On widział to szlachetne, smutkiem powleczone oblicze... wczoraj... gdzie?... Prawda, w redakcyi „Gwiazdy“. To ten sam, który siedział na ubo- czu i czytał.

Nieznajomy wyciągnął rękę do Bolesława.

— Przeczuję, — odezwał się — że się panu niepro-

dentów Wolffa i Gaffriota, był liwerantem armii w Krymie i w Meksyku, zrobił na tem ogromny majątek, który stracił na spekulacyach, dostał się na dyrektora agencji w Memfis el Paso, rzucił się w handel sadłem, a w końcu uciekł ze Stanów Zjednoczonych i schronił się do Brukselli.

Drugi stryj był od roku 1860 do 1862 dyrektorem lombardu w Kolonii, dopuścił się tam niezliczonych malwersacyj i uciekł naprzód do Francji, potem do Anglii. Skazany został na dożywotnie ciężkie roboty, zaślubił w Londynie sławną rajfurkę, mającą sklep na Picadilly, a obecnie zamieszkała w Paryżu.

U jednej z kuzynek Mayera, pani P., umarł nagle jeden z marszałków drugiego cesarstwa.

Co się tyczy ojca Mayera, ten, za cesarstwa, siedział kilka dni w Mazas i wypuszczony został tylko dzięki protekcyi marszałka; zamieszany ponownie, przed kilkoma laty, w inną sprawę, widząc się zgubionym, obwiesił się w swojej posiadłości Jowy en Josas.

Nasz Mayer, Beniamin-Eugeniusz, odegrał jeszcze pewną rolę w tragicznej sprawie Rappaporta.

Ta sprawa Rappaporta zasługuje na szczegółową wzmiankę. Ów Rappaport czy Rapoport, to prawdziwy żyd nowoczesny, jedna z postaci, których Paryż dzisiejszy liczy na tysiące; mieszka w zbyt wysokim apartamencie przy ulicy Richelieu, chodzi po modnych restauracyach, gra i wygrywa zawsze. Lubo był rodem z Wilna, gdyby był stanął do wyborów municypalnych, jako współzawodnik jakiego zanego chrześcianina, którego rodzina od dwóch albo trzech wieków jest opatrnością dzielnicy którą zamieszkuje, byłby nie tylko wybrany, ale obwołany przez aklamacyę, niby drugi Kamil Dreyfus. Wszyscy żydzi i wszyscy masoni byłiby szli do urn wyborczych jak jeden mąż, krzycząc: „Wyberzmy Rappaporta!“, podczas gdy uczeni ludzie byłiby pozostali w domu i zawodzili lamenta nad sobą.

Jak się odbył dramat, który dni jego zakończył, 12-go Grudnia 1882 roku? To pozostało zagadką. Przytoczmy naprzód opowiadanie „Latarni“, która mogła być wybornie poinformowana, lecz jednocześnie była interesowaną w tem, żeby ukryć prawdę.

„Znane są materyalne fakta zbrodni. Zrana otwarło się gwałtownie okno na czwartem piętrze i ukazała się w niem młoda dziewczyna, wydająca krzyki rozpaczliwe; potem zniknęła, pociągnięta nagle w tył, a okno się zamknęło. W chwilę potem rozległ się strzał. Posłano po stróżów bezpieczeństwa i otwarto drzwi mieszkania, o którym mowa.

„Mieszkanie to zajmował faktor od dyamentów, pan Jerzy Rappaport, który zasztyletował córkę, a następnie sam sobie w łeb strzelił.

„Oto fakta brutalne, opowiedziane poprostu, w całej swojej krwawej grozie.

„Ale żaden dziennik nie wie dokładnie przyczyn zbrodni. Niektórzy sądzili, że to ojciec zropaczony krwią zmył haubę swojej córki. To fałsz! Rzecz się tak miała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

szony narzucam, ale chcę cię uwolnić od rozmowy z tam- tym (wskazał ruchem głowy na Bogackiego), która, jak zauważyłem, nie sprawia panu przyjemności. Mam zresztą zaszczyt znać pana, przypatrywałem mu się bowiem pilnie w gabinecie pana Młodowskiego. Jestem Edmund Chłodziński.

Głośne nazwisko autorskie obilo się o uszy Bolesława. Znał on to imię, widział je często pod artykułami i nowellami.

Skwapliwie pochwyił dłoń literata. Była to ręka ciepła, serdeczna. Jej krótki uścisk miał w sobie tyle szczerości, że wynagrodził Bolesławowi przykre wrażenie, jakie na nim „instrukcyje“ Bogackiego wywarły.

— Przeczuję pana, — mówił Chłodziński — że go tak bez ceremonii witam, ale my beletryści znamy się cokolwiek na fizyognomiach ludzkich, a pańska twarz pociągnęła mnie od samego początku. Zdaje mi się mocno, że należymy do tej samej rodziny, do rodziny narwańców.

Chłodziński uśmiechnął się z goryczą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MOZAJKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

Początki wystawy muzycznej.—Sama wystawa.—Sala portretów.—Sala instrumentów.—Sala pamiątek.—Jedyny zarzut.—Nowości teatralne.—Piękna żydówka.—Okruszyny literacko-artystyczne.

À tout seigneur tout honneur! moją „Mozajkę“ dzisiaj muszę rozpocząć od hr. Gustawa Platera i jego wystawy muzycznej. Mówię jego wystawy, gdyż on jest rzeczywiście jej ojcem, twórcą i piastunem; on powziął jej pomysł, on go mimo niemałych trudności, doprowadził do skutku, on opiekuje się nią po dziś dzień, poświęcając jej cały swój czas, o tyle, o ile mu go nie zabiorą inne zajęcia, tego rodzaju jak na przykład urządzenie wielkiego koncertu na rzecz budowy domu Towarzystwa muzycznego lub tym podobne. O celu, dla którego wystawa urządzoną została, nie wspomina, gdyż powszechnie wiadomo, że jest nim przyporządkowanie funduszy kasie zaliczkowej naszych artystów dramatycznych, która hr. Platerowi nie od dziś dnia dopiero dzielne i skuteczne zawdzięcza poparcie.

Kiedy hr. Plater po raz pierwszy puścił w świat myśl swojej wystawy, ludziska okrutnie kręcili głowami. Wystawa muzyczna!... Nie zdawało się nawet ludziom fachowym, a może tym bardziej nawet niż innym, żeby u nas, którzy, z wyjątkiem paru dawnych kompozytorów muzyki kościelnej, od niedawna dopiero na tem polu dajemy o sobie wiedzieć światu, znalazło się dość odpowiedniego materiału. Chopin i Moniuszko — mówili złośliwi — Moniuszko i Chopin; przed nimi nic, a po nich, co Bóg da, oto historia naszej muzyki; i co tu marzyć o wystawie!

Ale syk Zoilów nie zbił z tropu dzielnego inicjatora; uzyskawszy w pałacu Krasieńskich bezpłatne dla przyszłej wystawy pomieszczenie, jął się pracy energicznie, wytrwale, przybrawszy sobie do pomocy paru ludzi, którzy zapatrywania jego i nadzieje podzielali. W parę tygodni, do pracowni upartego melomana zajrzał jeden i drugi niedowiarek i wyszedł ztamtąd bez złośliwego uśmiechu, który, wchodząc, miał na twarzy; podawany bowiem w wątpliwość pomysł, nadspodziewanie prędko ubierał się w ciało, przybierał widome kształty i rósł w rozmiary. Niebawem, dwa gościnnie użyczony salony okazały się za szczupłymi; dodano trzeci, a i ten zapelniał się w krótkim czasie i w oznaczonym terminie otwartą została wystawa, budząca zajęcie zarówno w ludziach fachowych jak w profanach i stanowiąca jeden dowód więcej, co może silne przekonanie, wytrwałość i chęć usłużenia poczciwej sprawie jednego dobrego woli człowieka.

Wystawy, liczącej dzisiaj z górą tysiąc numerów, i powiększającej się jeszcze niemal z dniem każdym, szczegółowo opisywać nie myślę i nie mogę; jest zresztą od tego ona sama, jest opracowany starannie przez pana Polńskiego katalog, aby się z nich dowiedział wszystkich szczegółów każdy, kto je poznać pragnie. Ja rzucam tylko niezmiernie pobieżny jej szkic, dlatego, żeby dać o niej ogólne pojęcie tym, którzy go jeszcze nie mają i zachęcić ich do skompletowania wiadomości na miejscu.

Pierwszą tedy salę nazwaćby można salą portretów, które tutaj przeważną grają rolę, dwie spore ściany zupełnie sobą okrywając. Są to portrety muzyków, wykonawców i kompozytorów, śpiewaków i śpiewaczek naszych i obcych. Wiele z pomiędzy nich zwraca uwagę jako znakomite dzieła pędzla, wiele cennych unikatów, użyczonych przez rodziny, a wszystkie razem stanowią ciekawą zaiste galerję. Na ścianie nawprost okna wysadza się z ram jakaś postać zamazysta, buńczuczna, z krótko przystrzyżoną czupryną, w żupanie i w kontuszu, hardo w oczy ciekawym patrząca. To dziadek nieboszczyka St. Moniuszki, sędzia wojskowy, moicumpanie! Malowanie, jak na owe czasy, wcale niezłe; jest w tej głowie charakter, jest prawda; choć nie miałeś szczęścia znać pana sędziego, przysięgłbyś że podobny. Na prawej ścianie, wpada ci w oczy przedewszystkiem portret Troschla w całej postawie, wielkości naturalnej, w roli Don Juana, jeżeli się nie mylę, pędzla nieodżałowanego Simmlera. Jest tam naturalnie, w licznych egzemplarzach, Chopin, Moniuszko, Elsner, Kurpiński, Dobrski, Każyński, Rivoli, Rywacka, są słowem wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy, co na naszym horyzoncie muzycznym krócej czy dłużej, jaśniej czy skromniej zabłysli. Miło zawsze zapoznać się bliżej z takim towarzystwem.

Na środku sali i pod ścianami jest parę klawikordów starego autoramentu, parę pianin czy fortepianów nowiuteńkich, niby z igły zdjętych, pochodzących z fabryk tutej-

skich, jest wielka harmonia z kręgami szklanymi, na których gra się palcem zwilżonym. Ścianę naprost drzwi wchodowych prawie całą zajął p. Kruziński na wystawę instrumentów najnowszej konstrukcyi, między którymi, tu i owdzie, ciekawy antyk się zawadzi. Zbiór ten uzupełnia kolekcya szkatulek i szafek grających.

Dopiero sala druga zwać się może właściwie salą instrumentów, tutaj jest znów parę starych klawikordów; na lewo organ, na prawo orkiestryon; na środku wielka oszklona gablota, obejmująca cenny i ciekawy zbiór skrzypiec hrabięgo Ledóchowskiego. Tutaj wreszcie w skromnym kąciuku, w ściętym rogu salonu, po nad kominkiem rozwieszono są instrumenta starej niegdys kapeli częstochowskiej.

Trzecia sala, to niby świątynia pamiątek. Królują tutaj Chopin i Moniuszko, po których relikwii tu pełno — szczególnie po pierwszym. Jest fortepian Pleyela na którym grywał do ostatka, i maska gipsowa pośmiertna, i ręka z brązu odlana i wiele drobniejszych pamiątek, i najciekawsza może polska jego korespondencya, i tak nazwany przez niego „Kuryer Szafarski“, w której to formie pisywał listy do rodziców z Szafarni, wsi Dziewanowskich.

Naprzeciw stoi fortepian Seidlera i Kralla, na którym grywał Moniuszko, kałamarz w którym maczał pióro, tworząc „Halkę“, „Hrabinę“, „Straszny Dwór“; są oryginalne partytury tych oper, nieco listów i fotografii.

Obok znalazło się też kilka pamiątek po księciu Józefie Poniatowskim, który zamiłowany był w muzyce. Jest tu parę jego klawikordów, jest ciekawy pulpit do pisania stojący, w pośrodku którego zamiast szuflady wyciąga się klawiatura; jest o r p h i c a, rodzaj liry z klawiaturą.

Mniej właściwie umieszczone tu zostały pamiątki po nieodżałowanym Janie Królikowskim, który o ile wielkim był artystą na scenie, o tyle z muzyką nie miał nic wspólnego. Weszły one tutaj chyba tym tytułem, że to wystawa na rzecz kasy artystów dramatycznych.

Ale tej nawet ekskuzy nie mają rozmaite albumy, laurki i t. p. bilety z powinszowaniem imienin, jubileuszów i t. p., ofiarowane rozmaitego pokroju artystom, choćby nawet muzykom, żyjącym. Są to dowody zyczliwości i dobrego serca kolegów, które jednak nie są patentami dającymi wstęp do panteonu sztuki narodowej, którym staje się poniekąd ostatnia sala wystawy, dzięki obecności w niej takich jak Chopin i Moniuszko. Ze to lechce próżność czyjaś przyjemnie, temu wierzymy, ależ celem wystawy nie było i nie jest nadymanie pęcherzów.

Jedyny to poważny zarzut, jaki zmuszony byłem uczynić urzędzeniu wystawy, która zresztą, jako pierwsza u nas i ze względu na wiele innych łdanych warunków, świetną nazwać się może, i jak najpochlebniejsze organizatorowi swojemu wystawia świadectwo.

Z nowości teatralnych, oprócz kilku „krotocwil“, mniej więcej szczęśliwie z obcych języków dla nas poprzykrawanych, które na scenie Teatru Małego światło kinkietów ujrzały, mamy do zanotowania zaledwie dwie komedye, niby to poważniejszego pokroju, które przedstawiono w Teatrze Rozmaitości. Pierwszą z nich jest komedya oryginalna p. Zygmunta Przybylskiego: „Państwo Wackowie“, ograna już w teatrzyku ogródkowym, jak się to zwykle zresztą „premierom“ naszych teatrów zdarza. Dziwna to sztuka! Stanowi ona dalszy ciąg „Wicka i Wacka“, którzy tak słuszną reputacyę komedyopisarską pana Przybylskiego podnieśli. Nic w niej nowego, postacie te same co w poprzedniej komedyi, tylko o wiele bledsze, treści prawie niema, budowa taka, że parę aktów dałoby się, a nawet należałoby wyrzucić, — a jednak mimo tego wszystkiego „Państwo Wackowie“ zasilali przez jakiś czas potężnie kasę w ogródku, a na Teatrze Rozmaitości gorącego doznali przyjęcia. *Succès oblige* nietylko autora ale i recenzenta; ztąd wielu nie wiedziało co począć z tą sztuką; jedni chwalili ją nad zasługę, drudzy potępiali z kretesem, także niesłusznie. Naszem zdaniem, błędy i braki swego utworu, autor okupuje szczęśliwie pochwyconym ogólnym kolorytem nawskroś swojskim, którego wrażeniu słuchacz i widz bezwiednie ulega i pochwycony za serce bije brawo autorowi. Niemalą też rolę odgrywa tutaj pobłażliwość i życzliwość, którą sobie p. P. „Wickiem i Wackiem“ zaskarbił. Zresztą trzeba tu wziąć w rachubę i sympatyę, jaką publiczność nasza słuszenie żywi dla sztuk swojskich, oraz zamiłowanie i werwę naszych artystów, z jakimi sztuki takie grać zwykli.

Koniec końcem „Państwo Wackowie“ mają co najmniej sto razy większe prawo obywatelstwa na naszej scenie, niż taki „Najnowszy skandal“ (*Le scandal d'hier*) Barriera, który jako druga nowość ukazał świeżo w Teatrze

Rozmaitości. Za tem, że Barrière napisał „Falszywych pocziwców“, „Kobiety z kamienia“ i „Mazgajów miłości“, nie idzie wcale, żeby wszystko co napisał przyswajać w czambuł scenie naszej. Wartoby jej oszczędzić przynajmniej tego, co i w oryginale, we Francji, nie miało powodzenia, a do tej kategorii właśnie ów „Skandal“ należy. Dopatrzone mężczyzną wyskakującego nocą z balkonu, z do mu w którym są dwie młode kobiety. Złość, zemsta rzucają podejrzenie na tę która właśnie jest niewinna; na szczęście prawda na czas wychodzi na wierzch — oto treść „Skandalu“. Treść oklepana, charakterów żadnych, robota nawet nie dość zręczna. Wytworność dykcji Barrière przepada w nędznym przekładzie. Po co to wszystko na scenie naszej? ... Szkoda doprawdy znakomitej gry artystów, takich mianowicie jak pani Rakiewiczowa, panna Marczello, pani Lüde, pp. Tatarzkiewicz, Ładnowski i inni. Szkoda nieodżałowana — ale cóż robić? Z każdym dniem przekonywamy się mocniej, że nasi artyści inaczej grać nie umieją.

(Dokończenie nastąpi)

Janek się przyśnił.

OBRAZEK.

Przytuliła główkę do fuksyi, która jak ona zwracała zarumienioną jeszcze od snu twarzyczkę ku słońcu, spojrziała, przesłaniając ręką oczy, ku górze, uśmiechnęła się i z ust jej popłynęła piosenka:

Gdzie zgubiłam serce, gdzie?...
W całej wiosce pytam o nie,
Zbiegłam gaje, ogród, błonie
Lecz nie mogę znaleźć, nie.
Janku! czyś ty znalazł je...
Co?... — Ej nie zapieraj się...

I zasłuchana cała w nucone słowa stała uśmiechnięta sama do siebie, nie wiedząc o bożym świecie i o tem, iż od dźwięk wesoły, jaki z jej piersi szeroką nutą wybiegł, wszystkich i wszystko poruszył w przygarbionym domku na skraju miasta.

Terminator Józiek, który właśnie załatwiał jakieś rachunki z podwórzowym brytanem, stanął z podniesioną pięścią i nie zwrócił już uwagi na to, że Burek wyrwał mu się z drugiej ręki i pobiegł do okna by się połaści panience, kaczki kraczące poważnie tu i owdzie zwracały ku domkowi zdziwione dzioby, jakby chcąc ukarać zuchwałą, co sejm codzienny ośmieliła się im przerwać, fale nawet pobliskiej Wisły zaszemrały żywiej, w takt wesołej piosenki dziewczyny.

Ojciec oderwał ręce od hebla i wspólnie z matką podkradł się ku drzwiom, by nie stracić jednego słowa.

Nieoczekiwana snąc piosenka oddech zaparła im w piersiach. Stali chwyciwszy się za ręce, nie czując tego, iż lzy płyną po ich pomarszczonych twarzach.

Stary stolarz pierwszy otarł je kułakiem.

— A co, stara, nie mówiłem, że się rozweseli, że zapomni...

— Dałby to Bóg...—odpowiedziała matka, i nie mogąc już się wstrzymać pobiegła do jedynaczki i tuliła ją do macierzyńskiego łona i długi, długi bez końca składała pocałunek na jej gładkim czole.

— A idźże, spiochu, — mówiła przez lzy wciąż jeszcze gwałtem się cisnące i powiedz ojcu „dzień dobry“.

— Dobrze, mateczko, bo właśnie mam go o coś prosić.

— O co, Stacha? — zapytał odedrzwiał stary stolarz, który podążył za żoną. Czy może sukienki jakiej panience się zachciało?... a może jakiego pierścioneczka z oczkiem?... Mów... tylko śmiało, kiedy mi śpiewasz, niczego ci nie pożaluję, choćby mi przyszło duszę zastawić!...

— Ja wiem, tatusiu, — odszczębiotało dziewczę, schylone ku dłoni ojcowskiej, — że tybys i szybki z okna i kafelka z pieca swojej jedynaczce nie pożalował, lecz ja nie proszę o to, pojedźmy tylko dziś wieczorem na Wisłę... To tak miło mieć przed sobą i koło siebie wodę, a nad sobą niebo ozłocone promieniami zachodzącego słońca... No cóż... dobrze?...

Stolarz spojrział z niepokojem na żonę i z zachmurzonym licem odpowiedział twierdząco na prośby jedynaczki i mniej już pewnym krokiem wyszedł z śnieżnie przybranego pokoiku.

Matce nie szło już tak składnie uprzątanie schludnej

izdebki, dopóki z ust Stasi nie wyszła i nie rozbrzmiała naokół piosenka inna, jeszcze weselsza od poprzedniej. Pobiegła wtedy żywiej o wiele niż jej na to szósty krzyżyk pozwał, do kuchni, a przechodząc koło warsztatu rzuciła słowa:

— Słyszysz, znowu śpiewa... a ty się już chmurzyłeś Bóg wie czego...

— No tak, ale ta jej chętką na Wisłę... a ja myślałem już posłać po Józefa, żeby tu jutro przyszedł...

— Nie spiesz się tak jeszcze... Mógłbyś wszystko ze psuć; zaczekajmy trochę, aż się nam rozśpiewa na dobre, rozbawi, a to po tem samo już przyjdzie.

— A może masz i rację, wy kobiety znacie się na tem lepiej... Zaczekajmy — niech nas sama o samego poprosi...

— No, kiedy tak to weźmy się do roboty. Patrzaj, ja o obiedzie całkiem zapomniałam.

Ale nie do roboty im było, choć oddawna po raz pierwszy o ściany niskiego domku odbiły się dźwięki młodości i życia, wesela i szczęścia, choć w nim było tak jasno, tak promiennie, że aniołowie w Niebie radować się musieli, a serca matki i ojca rosły z zadowolenia i szczęścia.

Patrzyli oni tylko przez dzień cały jak w tęczę na jedynaczkę krzątającą się szczebioczącą, uśmiechającą mimowoli, jakby do myśli, które krążyły w jej główce, a które serce do żywszego pobudzały bicia i karminem barwiły policzki.

Patrzyli tak na nią i podczas przejażdżki na rzece naszej szarej; jedno nie mówiło nic do drugiego, ani też do rozmarzonej a rozspiewanej Stasi... Nie śmieli do niej o niczem zagadać, o nic zapytać.

Bali się snąc poruszyć rany, zabliznionej już może, ale jeszcze świeżej, która tyle cierpienia przyczyniła im wszystkim. Stasia wyręczyła ich sama.

— Mameczko, — późnym już wieczorem rzekła w szeptach cichym, niby szelest liści w noc czerwcową. — Mameczko moja, Janek mi się przyśnił.

— Janek?... — ze drżeniem zapytała matka.

— A tak; zdrów, cały, choć go już dawno oplakałam. Mówił, że przyjdzie niedługo i już nigdy mnie nie porzuci, że myśli ciągle o mnie, choć nas kawał świata dzieli, że zawsze ma w sercu i na ustach wyrazy: Żebyś ty wiedziała, Stasiu, jak ja ciebie Kocham...

— Jak ja ciebie Kocham! — powtórzyła jeszcze i zasnęła.

A starzy długo w noc gwarzyli o tem, jak płonną była ich radość i o tem, czemu to miłość tak głęboko nieraz przenika w serca dziewczęce.

NA POSTERUNKU.

Mój występ w roli postępowca. — Walka z przesądem. — Nowe ukazanie się p. Dygasińskiego w kramiku p. Paprockiego. — „Zanadto!“ — Nietykalanosć „życia prywatnego“ naszych mówców publicznych, czyli fałsz i przesąd wygodny. — Prasa „piastunką prawdy“ a publiczności jej kaptanami. — Jak to wygląda w praktyce. — Parę przykładów osnutych na podstawie „faktów autentycznych“ i parę pytań najprostszyc. — Nie „zanadto“, ale z a m a ł o. — Życie publicysty jako dom szklany. — Niech patrzają. — Apostrofa w sensie zmienionym. — Kto mać spokój?...

Przeczuwam nową burzę i nowe, spadające na biedną „Rolę“, gromy, — a jednak radbym szczerze uściśnić pana Dygasińskiego, za tę sposobność, jaką mi dał do wystąpienia, choć raz jeden, nie w roli wstecznika, ale — postępowca. Nasi jedyni obrońcy „idei nowożytnych“ walczą głównie przeciw p r z e s a d o m, a ja właśnie w tej chwili pragnę wstąpić w ich ślady. Rzecz jest taka:

Apostoł darwinizmu, czyli pochodzenia małpiego, pan Adolf Dygasiński ukazał się znowu w kramiku („Życie“ Nr. 10) p. Paprockiego, rozdarł szaty i zawołał: „Zanadto!“ Czego „zanadto“? Ano, tego „podpatrywania“ prywatnego życia naszych stróżów i kierowników opinii publicznej, „tego wglądania w życie ich rodzin“, tego słowem „plotkarstwa“, pytającego kto zacz ten, kto przemawia publicznie i każe się słuchać.

„Nieszczęśliwy literacie warszawski—skarży się i wyrzeka pan Adolf Dygasiński — jak możesz mieć odwagę cywilną, kiedy z chwilą, w której zabierzesz głos w dziennikach, zaczną najprzód mówić o tem, jak żyłeś, żyjesz i żyć będziesz! Dobrzy twoi koledzy opowiedzą publicznie co robiłeś w przeszłości, jak się zachowujesz względem żony jak wychowujesz swe dzieci.“

„Jeżeli — mówi dalej zrozpaczony pedagog — jesteś dajmy na to nauczycielem, zadenuuncyją cię przelozonym i społeczeństwu, ludzie zaczną uciekać i spoglądać na ciebie jak na truciciela“ etc.

„Jeżeli się zaś życie twoje utaiło przed okiem tropicieli, to z twego sposobu myślenia potrafią oni wywnioskować, czy np. jednasz się z Bogiem przy konfesyonale, czy zachowujesz posty“ etc.

To właśnie są rzeczy okropne! Bo, jak powiada dalej pan Adolf Dygasiński, „mówić nawet o pochodzeniu, o wyznaniu, o domowym trybie życia“ nieszczęśliwego literata — „znaczy to zaprowadzać nowy rodzaj inkwizycji, uprawiać w literaturze hańbę, demoralizować własnych obywateli“ i t. d.

I pan Dygasiński jest pewnie przekonany że wyrzekł wielkie słowo. Ba, mógł on nawet trafić w przeciętny sąd publiczności, w którą tę zasadę (!) nietykalności życia prywatnego publicznych naszych mówców wmówiono już od dawna tak dobrze, jak i setki różnych innych bałamuctw. Nie pytaj kto pisze, lecz co i jak pisze — wołają przewodnicy ogółu — a ogół przeciętny i wierzący na ślepo w drukowane słowo, uznaje to święcie. Tymczasem jest to jeden z przesądów, powtarzanych z bezczelnością godną wieku obłudy, jest to fałsz, wymyślony ku wielkiej wprawdzie wygodzie różnych panów „piszących“, ale z krzywdą publiczności i prasy.

Jakto? — mówicie mi panowie, mówi to nawet ten sam pan Dygasiński, w tejże samej oracyi swojej, że „prasa jest obrońcą idei wielkich“, że „prasa to piastunka prawdy“, że zawód publicysty to jedno z najszczytniejszych posłannictw, to kapłaństwo prawdziwe, a ja, słuchacz tej prasy, nie mam prawa zapytać się i dowiedzieć, kto zacytuje ci co mi tę „prawdę“ niosą? Nie mam prawa zapytać: ażali ich czyiny zgodne są ze słowami? — ażali oni to co głoszą, stwierdzają życiem własnym? Nie mamże prawa wiedzieć, czy są to rzeczywiście głosiciele i obrońcy prawdy, czy tylko faryzeusze, machery, spekulanci, podszywający się pod jej sztandar wspaniały? Maż mnie to nie obchodzić zgoła, czy ten kto mnie ma nauczać, prowadzić, uszlachetniać, podnosić — jest sam przedewszystkiem szlachetnym, czyli też nędznym komezydentem, obłudnikiem i łotrem? Ej, panowie kochani, toż za wiele tych żartów...

Zresztą, chcę być tym razem pozytywnym i, podobnie jak p. Dygasiński, na podstawie „faktów autentycznych“ postawić parę choćby przykładów, a obok nich parę pytań najprostszych. Niech czytelnik, nie obalamucony wykrętą błagą i faryzeizmem warszawskiego postępu — rozważy te pytania sam i sam sobie odpowie. A więc:

Przykład I-szy. Kierownik organu publicznego odrywa żonę od łoża chorego męża a swego przyjaciela, dobijając go przez to; wywozi ją, ukrywa, odbywa z ową cudzą żoną podróże, a porzuca własną.

Pytanie: Czy ja, słuchacz takiego mówcy publicznego i „piastuna prawdy“ powinienem o tem wiedzieć, czy nie? Czy mam słuchać takiego publicysty i wierzyć mu wówczas, gdy mi naprzykład prawie pocznie o poszanowaniu węzłów przyjaźni i węzłów rodzinnych? — czy też odwrócić się ze wzgardą i powiedzieć: idź precz potępienche!

Przykład II-gi. Żyd, spekulant, zgromadza kółko literatów zdolniejszych i wydaje pismo konserwatywno katolickie, popierające równocześnie interesa żydowskie. Literaci piszą — żyd im płaci; piszą tak jak chce żyd, gdyż inaczej, aniby im płacił, aniby prac ich drukował. Ogłasza on zresztą w zapowiedziach, w prospektach, ogłasza więc wszem wobec i każdemu z osobna, że „sam pismo swoje prowadzi“, a literaci milczą wobec tego i — piszą.

Pytanie: Czy mam prawo „mówić“ o pochodzeniu i wyznaniu onego redaktora-wydawcy, czy też, jak chce pan Adolf Dygasiński, i tego mi nie wolno? Czy ja, konserwatysta-katolik, mam na obronę lub wypowiedanie publiczne mych przekonań składać swój grosz żydowi i wierzyć w szczerść tej obrony? Czy w ogóle „nawet“ w takich wypadkach ma mi być nie do tego kto pisze i gdzie pisze, ale co i jak pisze? Czy mam, nakoniec, wierzyć ślepo w samodzielność sądów owego kółka literatów „piastujących prawdę“ i „broniących wielkich idei“ pod komendą naczelnika gminy... żydowskiej?

Przykład III-ci. Kilku ludzi bogatych wydaje własny organ. Większość jego współpracowników składa się z libertynów i bezwyznaniowców; wszyscy oni jednak piszą w duchu konserwatywnym, albowiem ich panowie tak chcą i dobrze za ten konserwatyzm (!) płacą.

Pytanie: Czy i taka obłuda ma mnie nic nie obchodzić — czy mam wierzyć i w taką niezależność przekonań?

Przykład IV-ty. Pedagog, duchowy piastun młodego pokolenia, pisze powieści bezwstydnie skandaliczne, a drwiąc z Boga przy każdej sposobności, szanuje przedewszystkiem Darwina.

Pytanie: Czy takiemu „nauczycielowi“ mam powierzyć moralną przyszłość mego dziecka i nie pytać o „sposób myślenia“ pedagoga, czy też, ku zgorszeniu p. Dygasińskiego, „uciekać“ odeń, jak „od truciciela“ i ostrzegać innych?

Przykład V-ty. Poetka boleje — „w świetnych rymach“ — nad dolą dzieci chłopskich, ale własne rzuca na pastwę losu i wiedzieć o nich nie chce.

Pytanie: Co mam czynić: czy wierzyć w szczerść uczuć poetki, w jej zapał i współczucie dla niedoli bliźnich — czy też... podziwiać przewrotność obłudnicy?

Przykład VI-ty. Literat Iks, nie dbając o żonę ani dzieci, większą część „prywatnego życia“ przepędza w knajpie, a literat Ypsylon, żyjąc „po pańsku“, robi długie tak wielkie, iż wie z góry, że ich nigdy nie spłaci.

Pytanie: Czy mam wierzyć i słuchać z namaszczeniem, gdy pierwszy będzie gromił publicznie rzemieślnika za „przesiadanie w szynku“, a drugi wymyślał szlachcie za jej rozrzutność, lekkomyślność i nie rachowanie się z groszem?

Dosyć! gdyż mógłbym zapisać przykładami i pytaniami trzy, cztery felietony, a nie skończyć jeszcze.

Dosyć, albowiem idzie mi przecież i o sens moralny, który, ku większemu jeszcze zgorszeniu p. Dygasińskiego, brzmieć będzie tak:

Nie „zanadto“, lecz za mało, za nieśmiało pytamy kto zacytuje ci, co biorąc na się misję publicystycznego kapłaństwa, radziży ogółowi naszemu przewodniczyć! Za mało tej ja wnoszę, i ztąd coraz więcej wdziera się do prasy jednostek, które, ze względu na swój niski, mały charakter, nie na przedzie ogółu, lecz na jego szarym końcu i... zdaleka stać winny. Za mało pod tym względem jest kontroli publicznej, i ztąd brak coraz większy zaufania publiczności do prasy; i ztąd brak związku między pismem a jego czytelnikami (właściwie związek ten istnieje o tyle, o ile czytelników zajmują: polityka, teatr i — obrazki); ztąd nakoniec brak i wpływu prasy. Za mało słowem jest tego, czego, według p. Dygasińskiego, ma być niby „zanadto“, i ztąd też dorobiliśmy się w prasie przewodników takich, jak Kiersze albo Rembertowscy, nie mówiąc już o innych, różnego fachu i gatunku — szubrawcach.

Horrendum! — woła p. Dygasiński — więc ty, biedny literacie warszawski, nie mozesz dziś „utaić nawet swego życia przed okiem tropicieli“?... Taić? — a po co, proszę pana? Po co kryć przed światłem to, co z zasady świecić winno samo przykładem swej czystości? Powiedziałbym przeciwnie: życie każdego, kto przemawia publicznie, niech będzie jak dom szklany przejrzyste i widoczne dla wszystkich. Niechaj je widzą wszelacy „tropiciele“, niechaj je „podpatrują“ i niech się przekonają, że ten kto naucza publicznie, wierzy w to czego uczy, albowiem życie jego jest w zgodzie ze słowami nauki. Tu właśnie jest główny punkt ciężkości kwestyi — i gdyby panu Dygasińskiemu szło naprawdę o cześć i powagę stanu do którego należy, powinienby corychlej zmienić sens swojej apostrofy żalostnej i powiedzieć raczej: Bracie po piórze — literacie, publicysto warszawski! — żyj tak, abys każdemu z „tropicieli“ mógł powiedzieć: chodź, zobacz — nie mam nic do ukrycia ani „utajenia“, a wtedy, mój bracie, nie zbraknie ci odwagi cywilnej“ w wystąpieniach publicznych; — wtedy też plotka ani kłamstwo nie przylgną już do ciebie, ale zwrócą się raczej przeciw twoim oszczercom. Wtedy wreszcie czuć będziesz w sobie dwa czynniki potężne, przy pomocy których słowo twoje publicznie zdobędzie wpływ i poszanowanie: czuć będziesz siłę własnych przekonań i dobrą wiarę tych, do których przemawiasz.

Odetchnęłem — wypowiedziawszy to, co, przyznając, oddawna ciążyło mi na sercu, a teraz, wielcy, mądrzy, uczeni i mający coś do „utajenia“, panowie „publicyści“, róbcie swoje z kolei: bijcie „nieuka“, „gbura“, nie umiającego uszanować „tajników“ waszego „życia prywatnego“, bijcie „Rolę“ nieszczęsną, głosicie światu o jej „wstecznicztwie“, „warcholstwie“ i t. d., albowiem ona wam spokój — maćci. A niedobra!

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Naród reporterski. — Interwiew z Worthem. — Fach kucharski górą. — Gastronomia dzisiaj a dawniej. — „Skrzydlate“ słowo księcia kanclerza. — Za cudze winy. — Postanowienie pani Wilsonowej. — Co Wilson myśli? — Niekzemność natury ludzkiej i Knebert. — Kłopoty społeczeństwa i nowa szkoła kryminalistów. — Pogrzeb cesarza Wilhelma. — Orędzia cesarza Fryderyka III. — Staa zdrowia cesarskiego i ustanowienie zastępstwa. — Sprawa bułgarska. — Usunięcie Boulanger'a od dowództwa korpusu. — Dymisja generała Bylandta.

Niema drugiego narodu tak nienasyconego, jak reporterzy. Nie dosyć im było statystów, wojowników, ba! nawet głów koronowanych, zaczęli interwiewować — krawców. Reporter paryzkiego dziennika „Messenger“ miał interwiew ze sławnym Worthem, no i ciekawych rzeczy od niego się dowiedział. Najciekawszem ze wszystkiego jest to, że pan Worth jest dostawcą wszystkich dworów europejskich, z wyjątkiem angielskiego, lubo sam jest Anglikiem. Król mody oświadczył następnie, że skromnością cechującą geniuszów, że z ubierających się u niego pań te najlepiej wychodzą, które się na gust jego zdają zupełnie, a najlepiej, zdaje się, wyszła pewna, bogata oczywiście peruwianka, dla której stworzył mantylkę za 150,000 franków. Zrazu przyszło mi na myśl, że strój ten składać się musi chyba z 30,000 złotych pięciofrankówek, ale później zreflektowałem się, że to byłaby mantylka po same pięty; musi więc być z jakiegoś droższego zrobiona materiału. W końcu, raczył p. Worth poinformować reportera, że im wcześniej zamówiona zostanie suknia, tem lepiej dla niej i dla właścicielki, ale że w nagłym razie gotów jest w 24 godzin zadość uczynić każdemu żądaniu...

Zastanowiwszy się nad temi rewelacyami wielkiego kunsztmistrza przyznać trzeba, że one w niczem nie wpłyną na bieg spraw politycznych, ani w ogóle na losy Europy, ale ileż szacownych zawierają w sobie wskazówek! Niestety, nie będąc w stanie ocenić ich jak należy, zmuszony jestem bliższą ich analizę zostawić utalentowanej specjalistce od fatalaszków, wiekopomnej autorce „Strzępków“...

Obok krawieckiego, najwyżej uprzywilejowanym jest dzisiaj fach kucharski. Nie dla tego broń Boże, że warszawscy kucharze zawiązują się w cech osobny, ale dla tego, że nawet sławnego republikańskiego kucharza Gambetty zakasował inny mistrz sztuki kulinarnej, którego wywiózł z Francji znany bogacz amerykański Vanderbilt, zrobiwszy z nim kontrakt na lat pięć i zapewniwszy mu 40,000 franków rocznej pensyi...

Wypada zdać, że każdy obiad Vanderbildta, zanim jeszcze grosz wyda na jakiegokolwiek spożywcze materiały, kosztować go będzie z górą sto franków... Stu biedaków najadłoby się za to po uszy, ale coż z tego! Gdyby takim Vanderbildtom przyszła fantazja żywić nędzarzy, w cóżby się obrócił szlachetny kunszt kucharski? A więc niech żyją Gambetty, Vanderbildty i gastronomia!

A jednak ci panowie nie mają za sobą zasługi nowości, oryginalności. Już za czasów rzymskich mieli oni poprzedników, którzy ich zaemiewają. Tacy Lukullusy, Viteliusy i rozmaici inni wydawali obiady, z których każdy kosztował ogromny na dzisiejsze czasy majątek.

Tak, panie dobrodzieju, nie ma nic nowego pod słońcem! Nawet kanclerz niemiecki nie zawsze mówi rzeczy nowe. Niedawno temu, na szpaltach gazet, cały świat obiegło jego „skrzydlate“ słowo: „My niemcy jednego Boga się boimy, więcej nikogo!“ I cóż się pokazało? Oto ciż sami niemcy, co się nikogo nie boją, nie zlekli się i księcia Bismarka, i wyszperali, że to samo słowo w słowo powiedział już przed nim poeta Arndt... Coś w tych Niemczech stanowczo zmienić się musiało; — przed niedawnym czasem niktby się tam był chyba na taką odwagę nie zdobył...

Jest jedno złe urządzenie na świecie, a mianowicie to, że nikt prawie nigdy sam za swoje winy nie pokutuje, ale pokutują wraz z nim, częstokroć gorzej od niego inni, którzy na to bynajmniej nie zasłużyli. Taki ciężki los dostał się w udziale nieszczęśliwej pani Wilsonowej, córce ex-prezydenta Grévego. Biedna kobieta tak głęboko uczuła hańbę męża swojego, że postanowiła wraz z dziećmi wynieść się do Ameryki i tam, nieznaną od nikogo, żyć ze szczupłego swego osobistego majątku. Od męża ani od rodziców nie chce przyjąć ani grosza, a pamięć świetnej przeszłości tak jest wstrętą dla niej, że mdleje, gdy kto przy niej wspomni pałac elizejski. Nie pierwsza to i niestety nie ostatnia zapewne męczennica, która cierpi za nie swoje grzechy!

Sam Wilson tymczasem nie traci podobno fantazyi; złożył apelację od wyroku i czeka. Czy spodziewa się

kasacyi, czy myśli przed ostatecznym wyrokiem prysnąć do Anglii? niewiadomo. Prędzej drugie niż pierwsze. A zresztą choćby został osadzony w więzieniu, wielka rzecz! Natura ludzka bywa tak nieczemna, że się oswaja ze wszystkim, nawet ze zbrodnią a nawet z hańbą.

W Czechach żyje niemiec, niejaki Franciszek Knebert, który niedawno temu został skazany na więzienie po raz 65-ty w życiu!... Czyż taka kara dla takiego człowieka jest rzeczywiście karą, czy robi na niego jakiegokolwiek wrażenie, czy osiąga cel jakiegokolwiek?... Po dwóch latach, na które ostatni wyrok opiewa, Knebert odzyska wolność i stanie się znów groźbą dla społeczeństwa, które go musi cierpieć pośród siebie.

Biedne to społeczeństwo. Utworzone niby dla wygody, bezpieczeństwa i rozwoju jednostek, ciągle choruje na ich wybryki, a obmyślanie środków na powściągnięcie tych wybryków jest główną jego pracą od wieków. A kiedy mu się zdaje że już zrobiło w tym kierunku wszystko co mogło, kiedy sądzi, że z mozołem zbudowany przezeń system karny dochodzi już do doskonałości, spostrzega naraz, że cały jego dotychczasowy trud jest daremny, że było na błędnej drodze, że wszystko trzeba zaczynać a b o v o, bez pewności, czy nowa droga zaprowadzi je nareszcie do celu. Na takie smutne myśli naprowadza pojawienie się i wzrost nowej, włoskiej szkoły kryminalistów, o której na dwóch prelekcjach w sali ratuszowej mówił profesor Krzymuski...

Pogrzeb cesarza Wilhelma odbył się w piątek z wielką uroczystością. W orszaku pogrzebowym postępowało czterech królów, ośmiu następców tronu i moc dygnitarzy wojskowych i cywilnych, nie mówiąc o tłumach publiczności. Brakło tylko dwóch ludzi, którzy najbliżej jego stali i którzy w dziejach jego panowania najważniejsze odegrali rolę: księżę Bismark i generał Moltke, ze względu na stan ich zdrowia uwolnieni zostali od towarzyszenia konduktowi cesarskiemu.

A jednak w parę dni później księżę Bismark odczytał zarówno w sejmie pruskim jak w parlamencie rzeszy niemieckiej orędzia cesarskie, i utrzymywano, że wyglądał dużo lepiej aniżeli w ostatnich czasach, przed i po zgonie cesarza.

Orędzia owe mieszczą w sobie przyrzeczenie cesarskie zastępujące przysięgę na konstytucję, na której to ceremonii dopełnienie, zdrowie cesarza w tej chwili nie pozwalała.

Według doniesień ze źródeł urzędowych, a takie tylko obecnie do wiadomości publicznej dochodzą, cesarz ma się znacznie lepiej, ale zawsze jest mowa o wyjeździe do Wiesbadenu, i o ustanowieniu zastępstwa, które jednak nie ma być regencyą i prawdopodobnie nie jednej ręce zostanie poruczone.

Sprawa bułgarska, według „Norda“, o tyle się posunęła naprzód, że wskazany jej został kierunek wytyczny, i że obecnie pokazać się musi, kto właściwie rozwiązaniu jej staje na przeszkodzie.

Rząd francuzki zdobył się nareszcie na energię i odebrał Boulangerowi dowództwo korpusu, a zamyśla o wykreśleniu go z listy armii. Skrajna lewica zaprotestowała przeciwko jego działalności, ale stronnicy jego utworzyli komitet, do kierowania agitacją na rzecz jego we wszystkich departamentach. Do komitetu tego należą między innymi Deroulède i Rochefort.

Minister wojny austriacki, generał Bylandt, ustąpił ze swego stanowiska; miejsce jego zajął generał Bauer. Dymisja słabowitego Bylandta była oddawna przewidywana, ale tylko w takim razie, jeżeli okoliczności wymagać będą energiczniejszego kierunku w ministerium wojny.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Wystawa czerwcowa. Komitet wystawy inwentarza, po odbytem posiedzeniu w d. 16 b. m., ogłosił następujące zawiadomienie:

Komisja wystawy inwentarza podaje do wiadomości, iż tegoroczna wystawa odbędzie się na placu Ujazdowskim, od 9-go do 19-go czerwca r. b.

Deklaracje, jak również i wszelkie korespondencje, dotyczące wystawy, przyjmuje kancelarya Towarzystwa Wyścigów konnych i wystawy (pałac Augusta hr. Potockiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 32-gi).

Ostateczny termin składania deklaracji, naznaczony został na dzień 15-ty Maja.

Komisya, zapraszając pp. hodowców i przemysłowców do wzięcia udziału w wystawie, nadmienia, iż oprócz inwentarza żywego (koni, bydła rogatego, owiec, trzody chlewnej, psów i drobiu), przyjmowane będą na wystawę wszelkie przedmioty, z chowem i pracą koni związek mające, w dziale zaś „po za konkursowym“ maszyny i zarządza rolnicze.

Tak więc wystawę mieć będziemy.

Nabożeństwo żałobne. W dniu 20 b. m., w kościele Ś. go Krzyża, odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego, urządzone przez rodzinę zmarłego pisarza. Mszę żałobną celebrował ks. Marmo, w asystencji księży Łubieńskiego i Szmidla. Przy katafalku ustawionym wpośródki świątyni, zebrała się bliższa oraz dalsza rodzina zmarłego, świat literacki i liczne koło pobożnych. Kościół cały był rzęsiście oświetlony, a okna przysłonięte krepą. Nadto w Czwartek (22 b. m.) odbyło się także same nabożeństwo żałobne, urządzone staraniem prasy warszawskiej.

Kwesta wielkotygodniowa. Pod tym tytułem „Przegląd Katolicki” pomieszcza następujące uwagi:

„Kwesta wielkopiątkowa i wielkosobotnia daje corocznie prasie powód do krytycznych uwag nad zachowaniem się kwestarek i asystujących im panów. Nie bez pewnej racji, niestety, zarzucają tym paniom i panom, iż bawią się przy Grobie Zbawiciela, jak na raucie, bo choć nie o wszystkich, ale o wielu z pomiędzy nich można to było dawniej twierdzić śmiało. W ostatnich latach, kwesty te poważniejszą przybrały postać, lecz nie tak jeszcze powszechnie, jakby należało.

„Na Komitet kwest wielkanocnych niepodobna wkładać obowiązku dawania kwestującym instrukcyj, jak się zachowywać mają. Rzecz to byłaby dlań tem trudniejsza, że i tak niemało on ma zachodu z zapraszaniem pań do tego dzieła. Ale słowo zwracające uwagę na wysokie i religijne znaczenie chwili, w której spełniać mają podjęty obowiązek, a z drugiej strony na zgorzenie, jakie z mniej poważnego traktowania tego obowiązku wynika, byłoby bardzo na swoim miejscu. Najlepiej byłoby, gdyby ono wyszło od pań starszych, kwestowaniu temu przewodniczących. Wobec zaś poważnego zachowania się pań i pańien kwestarek, młodzież, choćby nawet i w płytszych swoich przedstawicielach, nie próbuje rautowych rozmów i rautowego zachowania się w kościele.“

Pana Lewickiego, dyrektora Muzeum pszczelniczego w Warszawie, należałoby raz nareszcie „wymiarkować“ dokładniej i, oceniając bezstronnie jego „działalność“, o której sam bardzo wiele głosi, rozpoznać, czy jest to istotnie człowiek dobrych chęci, dobrej woli i rzetelnej pracy, czy też tylko zręczny przemysłowiec, podszywający swoje własne interesa spekulacyjne pod interes dobra publicznego? Ciągłe pan Lewicki ściągają coraz nowe fundusze od osób pragnących podtrzymać byt pożytecznej w gruncie instytucji, jaką jest bezsprzecznie Muzeum pszczelnicze, a tymczasem instytucja jest ciągle „zagrożoną“. „Zgłosili się do nas — pisze np. Kurjer Warszawski — dwaj posiadacze udziałów, przedstawiając nowy dowód, iż pan Lewicki u k r y w a i s t o t n y s t a n r z e c z y“. Doszło też już rzeczywiście do tego, iż na żądanie jednej z wierzycielek p. Lewickiego, komisarz sądowy zajął ruchomości muzealne, a między nimi 30 uli. Należałoby więc, mówimy, „działalność“ pana Lewickiego bliżej nieco wysświetlić, a tymczasem nie możemy pominąć i innej jeszcze strony jego ciekawej... ruchliwości. Za pieniądze, także zapewne „muzealne“, wydaje on czasopismo p. t. „Pszczola“; ale w tej „Pszczole“, zamiast pomieszczać prace rzeczywiście fachowe i pouczające, besztka pan Lewicki przedewszystkiem każdego z tych kolegów-pszczolarzy, którzy znakomitości jego pomysłów uznać nie chcą. Z tej też racji (!!), w Nrze 1-ym onej „Pszczoly“, wystąpił p. Lewicki i przeciw znanemu pszczolarzowi ks. Julianowi Jakubowskiemu z napaścią tak brutalną i ordynaryjnie bezmyślną, jakiejby się nie powstydzili z pewnością jakiś najostatniejszy zaułkowy świstek. Nie wiemy czy w ogóle p. Lewicki zdaje sobie sprawę z tego co czyni; — jeżeli jednak nie wie on, iż każdemu wolno mieć swój sąd o rzeczach, że więc i ks. Jakubowskiemu wolno jest różnić się w zdaniu z p. Lewickim, co do jego genialności pszczelniczej; jeżeli nadto nie wie, iż pismo s p e c y a l n e nie powinno być areną szykan i paszkwilów, to powinienby wiedzieć, że stan duchowny jest u nas w powszechnym poszanowaniu i że, z wyjątkiem zdemoralizowanych, bezwyznaniowych szubrawców, nikt dotąd na kapłana bryzgać błotem nie śmie.

To przynajmniej powinienby wiedzieć p. Lewicki, który, jak z owej wiecznie „zagrożonej instytucji“, tak też i z pisma radby najwidoczniej uczynić — parawan, ku osłanianiu interesów i celów osobistych.

Z prasy. Z powodu samowolnego podpisania przez redakcję „Kraju“ pana Kazimierza Pułaskiego pod rzekomą odezwą, której pan P. nigdy nie pisał i nie posyłał do „Kraju“, pismo to, przyściśnięte do muru, tak przez samego interesowanego, jak i przez

kilka pism warszawskich, wystąpiło z „objaśnieniem“, długiem co prawda, ale niestety — równie jak i samo pomieszczenie onej „odezwy“ — wielce niefortunne... Oto bowiem, w odpowiedzi na to, p. Kazimierz Pułaski ogłosił znowu list w dziennikach, w którym dowodzi już szczegółowo, że o b j a ś n i e n i e (!) „Kraju“ jest, mówiąc krótko, wykrętnem, a zasłanianie się w niem osobami trzecimi, nie zasługującym nawet na uwagę. „Zarzuty moje — pisze pan Pułaski — poprzednio sformułowane, utrzymuję; fakt nadużycia mego nazwiska przez „Kraj“ nie da się niczem obalić.“

„W cóż się obróci — dodaje jeszcze pan P. — poszanowanie dla słowa drukowanego, jeżeli w prasie, której szczytnem posłaniem jest utrzymywać nieskażoną opinię publiczną i jej przewodniczyć, takie nadużycia dzieć się będą, takie malwersacje z podpisami?“

Zapewne, — pytanie godne refleksji i dłuższego namysłu; czyby mu więc nie zechcieli poświęcić chwili czasu poważni mężowie z „Kraju“? Toż to także „dewastacja“, nie majątków ziemskich co prawda, lecz godności prasy,

„Gazeta Rzemieślnicza“, uwolniwszy się z objęć niepowołanego, poprzedniego sternika, staje się pismem, mniej wprawdzie, zabawnem — przez swoją ordynaryjną głupkowatość, jaką ją głównie ów poprzedni sternik zabarwił — ale zato o wiele pożyteczniejszem. Między innymi, nowa redakcja „Gazety Rzem.“, wprowadziwszy rubrykę „informacyj“, w której, obok innych wiadomości, podaje także terminy oraz warunki licytacji na różne dostawy, przedsiębiorstwa i roboty rządowe, może już przez to samo oddać czytelnikom swoim rzeczywistą usługę. Tym bowiem sposobem, przez rozpowszechnianie tego rodzaju wiadomości, ginących zazwyczaj w rubrykach zwykłych, płatnych ogłoszeń, możemy, przy licytacjach wspomnianych, obok stających, jak dotychczas, wyłącznie niemal „obywateli starozakonnych“, zobaczyć i — chrześcian nareszcie.

Odczyty. Dziewiąty i dziesiąty odczyt na rzecz Osad Rolnych wypowiedział z kolei Dr. Julian Ochorowicz. Treść prelekcji stanowiła historia magnetyzmu i hypnotyzmu, a wykłady te znanego badacza sprawdziły tak liczne audytoryum, jakiego od czasu odczytów prof. hr. Tarnowskiego Warszawa nie pamięta. Dość wspomnieć, że na każdym z odczytów D-ra Ochorowicza — słuchaczy było mniej więcej tyle, ile na wszystkich ośmiu razem prelekcjach poprzednich. Wielka sala ratuszowa była literalnie przepełniona, a kilkaset jeszcze osób odeszło, bez biletów, do domu. Nie idzie nam w tej chwili ani o teorię hypnotyzmu, której traktowanie nie może wchodzić w zakres zwykłej notatki kronikarskiej, ani o D-ra Ochorowicza, który sam się bronić potrafi. Nie możemy jednakże, z zasady słuszności, nie zaznaczyć, że ów niebywały tłok na odczytach wspomnianych, jest najwymowniejszą, zdaje się, odpowiedzią na znaną... agitację, niegodną ludzi mających pretensję do nauki i „wyższej inteligencji“ — agitację posuniętą aż do skandalicznych, jak wiadomo, wystąpień, pod skandaliczną egidą — p. Wiślickiego. Ostatni odczyt Dra. O. odbędzie się jutro t. j. w Niedzielę.

Uznanie pracy. W ubiegły Poniedziałek, grono literatów i protektorów oświaty wręczyło grupie pamiątkową panu Józefowi Grajnerowi, b. redaktorowi „Zorzy“, w dowód uznania jego nieustannej, trzycydziesięcioletniej pracy, podejmowanej dla oświaty ludu. Uznanie to istotnie dobrze zapracowane.

Z teatru i muzyki. W teatrze Rozmaitości, przedstawiono po raz pierwszy, w ubiegłą Sobotę, 3-aktową, tłumaczoną z francuzkiego, komedję Barriera, p. t. „Najnowszy skandal“.

Zapowiedziany poprzednio, koncert własny p. Zygmunta Noskowskiego, odbędzie się jutro (w Niedzielę) w salach redutowych.

Kłęski powodzi. Szkody zrządzone przez wylew Wisły, nie są jeszcze dokładnie obliczone, są one jednak w każdym razie znaczne i dotkliwe. Spustoszenia poczynione przez wylew tegoroczny zagranicą są również bardzo poważne, a na Węgrzech zwłaszcza kłęska powodzi doszła do przerażających rozmiarów.

Zmarli: Ś. p. Władysław Sabowski, zdolny publicysta i powieściopisarz — zm. w Warszawie. Obszerniejsze wspomnienie pomieścimy w numerze najbliższym.

S. p. Seweryn Smarzewski, jeden z najwybitniejszych obywateli galicyjskich, powaga w sprawach administracji i finansów, poseł na Sejm i do austriackiej Rady państwa — zm. w Wiedniu, w 70 roku życia.

S. p. Łazarz Hipolit Carnet, senator, ojciec dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej — zm. w Paryżu, licząc 87 lat życia.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

22 Marca 1887 r.

W ciągu ubiegłego tygodnia sprawozdawczego ani w Ameryce, ani na rynkach europejskich, nie zaszły żadne zmiany wa-

zniejsze. W ogólności tendencja jest zwykła, a chęć do kupna rozwinięta wszędzie dość silnie.

Na targach warszawskich polepszone usposobienie pozostało również bez zmiany, a nawet ceny podniosły się jeszcze.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 6.90—7.10, średnią 6.70—6.80, ordynaryjną 5.90—6.05. Żyto wyborowe 3.95—4.05, średnie 3.70—3.85. Owies 2.20—2.70, stosownie do gatunku ziarna.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 112—116, średnią 107—109, ordynaryjną 98—102 kop. za pud. Żyto wyborowe 65—68, średnie 62—64, ordynaryjne 59—61. Owies wyborowy 69—73, średni 63—66, ordynaryjny 59—61.

W handlu okowitą usposobienie uległo także pewnej zmianie na lepsze. W Warszawie w dniu 19 i 20 b. m., płacono za garniec w sprzedaży hurtowej 2.69—2.71; w detalicznej, jak zwykle o parę kopiejek wyżej.

Na targ pragski dostawa wołów odbywa się obecnie w ilości nieco mniejszej niż zwykle; ceny jednak pozostają bez zmiany. W ubiegły Piątek za sztuki dobre płacono 95—100 rs., za średnie od 60 do 75 rubli. Według wagi żywej wypadał pud od rs. 2 kop. 40 do rs. 3 kop. 35.

Na rynkach żywnościowych nabiał ciągle drogi, a szczególną drożyzną odznaczają się jaja. Za kopę płacą już od rs. 1 kop. 45 do rs. 1 kop. 60.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. Michał Wroński w Koz... — Księgarnia Cithurusa — zamknięta. Należność za żadaną książkę od nabożeństwa złożyliśmy w księgarni Gebethnera i Wolfa, która, po sprowadzeniu książki tej z Wilna, prześle ją wprost Sz. Ks. Dobrodziejowi.

P. Br. Kret... p. Kow. — Dziękujemy uprzejmie za życzliwość i zwrócenie uwagi. Skorzystamy przy sposobności... Obecnie podniesienie samej tej rzeczy byłoby już spóźnionem i mogłoby być wzięte za rozmyślnie wyszukaną „przyczepkę“.

Panu Sz... z Senatorskiej. — Dziękujemy uprzejmie, skorzystamy chętnie.

Czytelnikowi z Warszawy. — Będzie w przyszłym numerze.

Pani A. Sadowska z Warsz. — Gdybyśmy mieli dokładny adres sz. pani, moglibyśmy zrobić z jej listu odpowiedni użytek; przy braku zaś tej koniecznej w takich razach wskazówki, możemy tylko zapisać, dlaczego sz. pani wchodziła do sklepu owego kucepa—żyda z ulicy Marszałkowskiej, wiedząc, że sklepów chrześcijańskich z kaloszami nie brak przecież w Warszawie.

Panu I. L. C. — Owszem, wiemy: żyd adwokat Finkelhaus, współpracownik i główny filar (!) „Przeglądu“ p. Wiślickiego,—do wspólni z jednym z lekarzy...

REKLAMY.

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próżnej, z osobnym oddziałem Stręczeń mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renomy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobdawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—23)

OGŁOSZENIA.

WĘDRÓWKI I PRZYGODY

powieść nader zajmująca i pouczająca (dla ludu) napisał Leopold Szyller-Racki, cena kop. 20. Nakład Litografii i Składu Papieru L. Szyllera, Nowy-Świat 21.

Nakładem tejże firmy wychodzą TANIE GRY pedagogiczne; SZKOŁA PIĘKNEGO PISANIA w 6 zeszytach po k. 7, książeczki do kolorowania, wzory rysunkowe i t. p. Wykonywa monogramy, bilety wizytowe, papiery ozdobne i t. p.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-12
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bieleńska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowowniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

HURTOWY SKŁAD WIN

Zagranicznych i Russkich

Schobera i Zawadzkiego

W WARSZAWIE

przy ulicy Senatorskiej Nr. 24.

Ma honor podać do wiadomości Szanownego Duchowieństwa, że prócz rekomendowanego

Wina Krymskiego

z 1884 r. do Mszy S-tej, na 1 rub. 80 kop. garniec, na 40 kop. butelkę, jakie to wino zyskuje coraz większe uznanie, czego dowodem zwiększające się zlecenia ze wszystkich prawie dyecezyj, na zasadzie poczynionych prób,—poleca

i Wina Węgierskie

na ten sam cel z najzupełniejszą gwarancją czystości na 125 rubli beczkę, garniec 4 ruble, butelkę 85 kop.;

Dla Gospód

Wino Krymskie smaczne z 1886 r., polecamy na 1 rub. 20 kop. garniec, butelkę 30 kop.

Oprócz wymienionych Win codziennego niemal użycia, posiadamy i w wyższych gatunkach jak również Wina Bordoskie, Burgońskie, Hiszpańskie, Reńskie, Szampańskie tak francuzkie jak ruskie, oraz Porter i Piwo ang. Rummy, Cognaki lecznicze, Likier Benedyktyński i inne.

Cenniki na żądanie przesyłamy.

(6—5)

150,000 Świerków

(3—3)

2-ch do 3-ch letnich ktoby miał do odstąpienia, raczy nadesłać uwiadomienie listowne z oznaczeniem ceny.

Adres: Gub. Podolska, stacya Kryżopol,—Kasprzyńskiemu.

MAGAZYN (4—3)

RĘKAWICZEK RENIFEROWYCH

egzystujący od roku 1883-go

pod firmą

T. WITOSZYŃSKIEGO

Nowy-Świat Nr. 37.

Na sezon obecny zaopatrzonej został w znaczny wybór Rękawiczek Reniferowych Damskich, Męskich oraz Białych oficerskich wszystkie stebnowane. A mając możność sprzedawania takowych nie drogo, mam honor najuprzejmiej powiadomić Szanowną Publiczność, iż obecnie ceny są obniżone o 20 procent od poprzednio egzystujących.

T. WITOSZYŃSKI.

Magle pokojowe najnowszego systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowszego systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreciki i Stoliki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

Warszawska Fabryka Lodowni Pokojowych

pod zarządem:

J. KUCHTY

Piękna Nr. 30.

(12—6)

Cenniki wysyłają się na żądanie gratis.

Towary Kolonialne

SKŁAD WIN, TOWARÓW KOLONIALNYCH I DELIKATESÓW
FR. KRUPECKIEGO

Leszno Nr. 2, wprost ulicy Rymarskiej

poleca:

Wina czyste węgierskie, wytrawne i łagodne, na beczki, garnce i butelki, również stare maślacze w gąsior-
kach i butelkach.—Wina francuskie białe i czerwone, Hiszpańskie, Reńskie, Włoskie,—Miody, Koniaki, Porter
i Piwo Angielskie.—Wyborowe gatunki Win Krymskich białych i czerwonych.
Wina czyste węgierskie mszalne. (3-3)

Wybór wielki

Ceny niskie

Towary Kolonialne

Specjalna Fabryka i Magazyn Bielizny Męskiej

A. KIERST i S-ki

5. Bielańska 5. (vis-a-vis Daniłowiczowskiej),

poleca w wielkim wyborze:

Koszule męskie wykonywane podług najświeższych fasonów, od rs. 1.50—Kołnierzyki i Mankiety—wielki wybór
Krawatów, Spinek i Szpilek najmodniejszych—Kalesony, Skarpetki jedwabne, fildecose i bawełniane bez szwu—
Kaftaniki trykotowe wszelkich rodzajów—Chustki do nosa—Cachenez na szyję, jedwabne—Szelki, Laski etc.
Wszelkie zamówienia wykonywają się starannie i spiesznie, po cenach najniższych.

(26-24)

Najwyżej Zatwierdzone

Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie

„NEW-YORK“

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r.
Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161,100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku
Państwa 500,000 rubli tytułem kaucyki, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli).
Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancya Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie
zawartych.

Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Ruskiego.
Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR

na Rosyę Południową i Zachodnią

L. Werner.

oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie.

Bank Handlowy w Warszawie.

A. Rawicz & Comp.

(0-5)

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

poleca
Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Puglarsy — Portelgary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

52-53

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

DYPLOM UZNANIA.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada
meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach
możliwie niskich, także wszelkie roboty tapiearskie i dekoracyjne, podług
najświeższych żurnali (13-12)

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-11)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-15)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

Stacye Męki Pańskiej w oleodrukach, malowane na
płótnie, blasze i metalowe w płaskorzeźbie, Figu-
ry Chrystusa Pana do grobu, Figury Zmartwych-
wstania Pańskiego, Figury ŚŚ. Pańskich rzeźbio-
ne z drzewa, z masy stearynowej, z „papier ma-
chéé“ i metalowe, Feretrony procesyon. Dzwonki
akordowo-harmonijne, obrazki, krzyżyki, medaliki
na pamiątkę pierwszej Komunii św. i inne, najta-
niej

w Fabryce Wyrobów Metalowych (3-3)

Głównym Składzie Aparatów Kościelnych

P. BITSCHANA

w Warszawie ulica Długa Nr. 51 (574).

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesźnie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy król Koszul męskich.“

52—28

Główny Skład Wyrobów Tabaczných
Hurtowy i Detaliczny

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

Poleca:
wielki wybór cygar, tyto-
niu i papierosów, z wszyst-
kich fabryk russkich i
miejscowych, oraz gily
własnej fabryki, z pra-
wdziwej francuzkiej bibu-
ki „ABADIE“.
Dla Pp. Handlujących
odstepuje towar na
najkorzystniejszych
warunkach.
Wszelkie objaśnienia
na żądanie franco.
(10-7)

TANI POLSKI
Magazyn Bławatny
W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resursa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wy-
bór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po
kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70
do rs. 1.50.

Kaszmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs.
2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.
Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na skła-
dzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Płótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za
pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po
cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Ma-
gazyn posiada wielki wybór Perkali białych, Półpłótna,
Madapolamów, Drelichów kolorowych, Firanek, kołder
pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—1

Krawiec (52—6)
M. CHMURCZYŃSKI
w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz
wykonywa wszelkie odnowki jesienne i zimowe palta, sakpala, surduty,
tużurki, zakłady, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza
z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje,
zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej,
po cenach bardzo niskich.



SKŁAD WIN (24—3)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześw. Konsystorz Generalny Warszawski
przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie,
iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatry-
łem piwnice w czyste i wystale wina Węgierskie, odpowiednie do użyt-
ku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbior-
ców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku
85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego —
w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstepując takowe, przy możli-
wie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzo-
ne są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak
wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody
i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina
zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Renskie, His-
zpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franco i bezpłatnie.

SKŁAD MEBLI 13-3

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych,
produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od
najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówie-
nia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć
towaru i roboty.



FABRYKA I SKŁAD
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży.

F. Balukiewicza
w WARSZAWIE

Belańska Nr. 9, Hotel Paryzki.

26—22

NASIONA (6—1)
świeżo sprowadzone, polecają
ESTREICH i PODBIELSKI
Warszawa, Miodowa Nr. 19.

Treść numeru : Od Redakcyi. — Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) II. — Listy z Galicyi. — Francya zżydziała (d. c.) — Mozajka literacko-artystyczna. — Janek się przyśnił (obrazek) przez m. — Na posterunku, feljton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku : „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Chońskiego (d. c.).

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Випуса 10 Марта 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)